

## Przypadek Piera Soderiniego

Te byle jakie okoliczności upadku Republiki Florenckiej frapowały mnie zawsze z jednego powodu. Stanowią one bowiem klasyczne świadectwo kruchości tego wszystkiego, co w polityce – zwłaszcza współcześnie – zdaje się nam najcenniejsze: ładu opartego na respekcie dla instytucji i procedur. No bo instynktownie przyzwyczailiśmy się mniemać, że to właśnie ów ład jest jedynym zdolnym gwarantować republikańską wolność – pisze Jan Rokita w najnowszym felietonie.

Zawsze frapował mnie ów zapis zdarzeń z dnia 31 sierpnia 1512 roku we Florencji, jaki znajdujemy w „Historii” Guicciardiniego, zaś Machiavelli wielokrotnie nawiązuje doń potem w „Rozważaniach”. Jak wiadomo, tego dnia upadła przesławna Republika Florencka, zaś dzień później panowanie nad miastem, a potem nad całą Toskanią, przejęli Medyceusze. Ta data ma więc symboliczne znaczenie dla dziejów europejskiego republikanizmu, choć faktyczne zdarzenia owego dnia – to historia obezwładniająco miała i licha, za grosz wyzbyta spodziewanego w takich razach dramatu. Rano do niestrzeżonego Pałacu Signorii weszła grupka młodzieży, która głównymi schodami bez przeszkód dotarła do gabinetu Gonfaloniera Republiki. Piero Soderini, który z woli ludu pełnił ten urząd dożywotnio i był nie tylko naczelną władzą, ale także kimś na kształt symbolu republiki, był już w pracy. Młodzieńcy stanęli przed nim i zażądali, by poszedł z nimi do swego służbowego mieszkania w pałacu. Gonfalonier nie stawiał oporu, ale do jakiegoś napięcia musiało dojść już w tym mieszkaniu, skoro Guicciardini twierdzi, iż młodzież zagrozić miała przywódcy republiki

śmiercią, o ile nie będzie posłuszny. Na takie *dictum* (trudno orzec na ile poważne) Soderini zgodził się zebrać swoje rzeczy i opuścić pałac, tak jakby tam był jakimś prywatnym intruzem. Niczego więcej się odeń nie domagano. Albowiem to wyjście, w asyście promedycyjskiej młodzieży, było równoznaczne z symbolicznym poddaniem najwyższego urzędu republiki.

I to wszystko. Aż chciałoby się rzec, trochę nazbyt literacko: „Innego końca republiki nie będzie”. Oczywiście, dzień 31 sierpnia poprzedziło wkroczenie do Włoch wojsk hiszpańskich i masakra dokonana w Prato, więc Florentyńczycy przestraszyli się swego republikanizmu. Przywódca państwa, szanowany za swą osobistą prawość i upodobanie do demokratycznych form rządzenia, teraz stał się lalką w rękach grupki młodzieży, która wtargnęła do pałacu jako forpoczta nadchodzącej nowej władzy. Machiavelli, który był współpracownikiem Soderiniego, obsesyjnie powraca potem do tej tragicznej postaci oraz okoliczności końca republiki. I co charakterystyczne, przyznając osobistą szlachetność ostatniego przywódcy republiki, odsądza go zarazem od czci i wiary jako tego, którego brak gotowości do podejmowania czynów stanowczych i brutalnych stał się przyczyną zguby republiki. „Piero Soderini – pisze w trzeciej księdze „Rozważań” – zwykł był kierować się w swym postępowaniu dobrocią i cierpliwością. Szczęście dopisywało zatem jemu i jego ojczyźnie, dopóki czasy sprzyjały takiemu sposobowi postępowania. Nadeszła jednak chwila, kiedy wypadało zapomnieć o cierpliwości i pokorze, ale Soderini tego nie potrafił. Stąd upadek jego i jego ojczyzny”.

Te byle jakie okoliczności upadku Republiki Florenckiej frapowały mnie zawsze z jednego powodu. Stanowią one bowiem klasyczne świadectwo kruchości tego wszystkiego, co w polityce – zwłaszcza wspólnie –

zdaje się nam najcenniejsze: ładu opartego na respekcie dla instytucji i procedur. No bo instynktownie przyzwyczailiśmy się mniemać, że to właśnie ów ład jest jedynym zdolnym gwarantować republikańską wolność. Tymczasem grupka młodzieńców wstępujących tamtego poranka na schody Palazzo Vecchio obnaża z zatrważającą łatwością konwencjonalną naturę tego ładu. Ich wejście jawnie demonstruje, iż instytucje i procedury nie mają własnej wewnętrznej siły życia, nie trzymają się ani mocą wewnętrznej logiki, ani doskonałości, ani nawet sprawiedliwości, ale żyją wyłącznie mocą politycznego uznania. A jeśli przyływ ludzkiego strachu, albo mało bohaterski nawyk wygody życia codziennego zachwieje owym uznaniem, to wystarczy chwacka, albo opłacona (tego Guicciardini nie mówi) grupka młodzieży, aby zdmuchnąć obezwładnione instytucje i procedury. I wtedy odsłania się na chwilę prawdziwa natura polityki: ten jej newralgiczny aspekt, który Weber określa „zadawaniem się z diabelskimi mocami”. Czyli po prostu z przemocą, występującą – zwłaszcza w naszych współczesnych demokracjach – pod wyrafinowanymi i na pozór całkiem „pokojowymi” postaciami. Bo ta grupka promedycyjskiej młodzieży, postępująca w sposób niemal niewinny, jest przecież niczym innym, jak tylko uległym narzędziem w ręku owych weberowskich „diabelskich mocy”.

I tu tkwi właśnie istota pretensji, czy nawet nieskrywanej pogardy, jaką Machiavelli żywi wobec upadającego Soderiniego za to, że jego upadek spełnia się w formie tak lichej i nieodpowiedniej dla dziejącego się naprawdę dramatu. I za to także, że wyrafinowana przemoc może zatriumfować na sposób tak żałośnie pospolity. Sekretarz republikańskiego rządu oczekiwałby od swojego szefa, że ten w końcu wyzbędzie się tak charakterystycznych dlań cnót „cierpliwości i pokory”. Owszem, w czasie gdy legalne instytucje i procedury działały normalnie, te cnoty budowały autorytet polityczny Gonfaloniera, a tym samym były źródłem jego sukcesu, wzmacniając legitymizm jego

rządów. Ale kiedy wieść o nadchodzeniu Medyceuszy, a potem o zdarzeniach w Prato, obezwładniła moc republikańskiego ładu, potrzebny stał się całkiem inny rodzaj republikańskiej *virtu*. Ten objawiający się śmiałością i mężnym sercem, chytrym i sprytem, a nawet brutalnością, zwłaszcza wobec agentów i tchórzy. Oczywiście tamtego ranka 31 sierpnia, kiedy na schodach było słychać kroki młodzieńców, wyrok historii był już na Gonfaloniera wydany. Tak, wtedy było za późno. Ale Machiavellemu idzie o to, co Soderini mógł zrobić, a czego ogarnięty niemotą nie zrobił, przed nastaniem owego dnia. Jak mógł pozwolić na to, aby medycejska agentura cichcem opanowała Pałac Signorii? Czemu nie kazał wieszać zdrajców? Dlaczego nie wygłosił manifestu mobilizującego ostatnich zwolenników republiki? Czemu z takim fatalizmem i bezsilnością wyczekiwał na wyrok losu? Jeśliby nawet założyć, że republika i tak nie zdołałaby się utrzymać, to w każdym razie jej upadek nie zapisałby się na kartach dzieł Gucciardiniego i Machiavellego z tak beznadziejną miałością i lichotą. A i sama postać Piera Soderiniego – dożywotniego Gonfaloniera Republiki Florenckiej nie stałaby się podręcznikową figurą politycznej niemoty.

*Jan Rokita*